

Eleonora Kalkowska

Dlaczego zostałam dramatopisarką?

Przełożyła Barbara Bernhardt

Być może dlatego, że mieszanka krwi w mych żyłach – niemieckiej, polskiej, ale również w mniejszym stopniu francuskiej i szwedzkiej – wywołała we mnie stan napięcia, który swoją korelację, rozładowanie – a przez to w pewnym sensie rozwiązanie – mógł odnaleźć wyłącznie w twórczości dramatycznej.

Być może dlatego, że pochodzę z rodziny, która dała scenie wielu wspaniałych aktorów, a która atawistycznie opętała mnie namietnością do teatru i słowo poetyckie ożywa dla mnie tylko wtedy, kiedy towarzyszy mu dźwięk.

Być może również dlatego, że moje nastawienie do świata coraz silniej skłaniało się ku stanowi „nienawistnej miłości” – mieszanki pogardy, odrazy i zgrozy ze swojego rodzaju podziwem i uwielbieniem – w którym, pomimo całego przerażenia okrucieństwem dziejów ludzkich i uwikłaniem człowieka w sytuację bez wyjścia, pełna byłam najczystszej i najprawdziwszej zachwytu nad każdorazową próbą wyrażenia siebie czy świata, podejmowaną przez jednostkę. Zachwyt ten znajdował swój najpełniejszy wyraz tylko w fizycznej bliskości sceny, w kreacji prawdziwych, poruszających się, oddychających, przemawiających ludzi...

Być może dlatego, że cud *p r z e m i a n y* jest według mnie największym cudem świata i w przeciwieństwie do wielu innych pisarzy nigdy nie doznaję uczucia rozczarowania w zetknięciu z transformacją, jakiej podlega moja wizja poetycka wskutek różnorodnych postaw i opinii reżyserów i aktorów, stale stając się przez to czymś nowym – wręcz przeciwnie, zawsze jest dla mnie radosną i ekscytującą niespodzianką.

A może też – i choć wspominam to na końcu zdecydowanie nie jest to najmniej ważne – ponieważ czuję, że istota świata ujawnia się w najbardziej

podstawowy sposób w burzach i zamieciach dramatu, które popychają zdarzenia i stają się oddechem aktorów, znajdującym swe wyzwolenie w postaci kryków, westchnień, bredni lub ekstazy radości.

Może właśnie ze wszystkich wyżej wymienionych powodów razem wziętych zostałam dramatopisarką. A może z jeszcze innych, które umykają teraz mojej świadomości lub może raczej umiejętności sformułowania – w każdym bądź razie, zostałam dramatopisarką, bo nią zostać musiałam!

Odkąd pamiętam, zawsze miałam słabość i inklinacje do twórczości dramatycznej, chociaż moja potrzeba twórcza doszła do głosu początkowo w poezji. Z punktu widzenia treści i formalnej budowy – ekspozycji, konfliktu i rozwiązania – skonstruowałam swój pierwszy, podyktowany, gdyż pisać jeszcze wówczas nie potrafiłam, dramacik w wieku lat czterech i pół. Z moich najwcześniejszych lat szkolnych, które spędziłam we Wrocławiu, zachowało się oprócz wierszy kilka nieśmiałyłch szkiców dramatycznych.

Z czasów nieco późniejszych – miałam wówczas 15 lat i chodziłam do niemieckiego gimnazjum w Petersburgu – przypominam sobie istotną rozmowę z jedną z moich koleżanek. Był przezroczysty wczesnowiosenny dzień, spacerowałyśmy przez Letnij Sad, po Newie przesuwali się kry lodowe i delikatny powiew wiatru pełen był znaków zapytania. Moja koleżanka poczuła potrzebę wyznać i bez zahamowań wylała przede mną to wszystko, co wyobrażała sobie jako cel i punkt szczytowy swego życia.

Potem przyszła kolej na mnie. Chciałam, a nawet uważałam to za swój obowiązek, być tak szczerą i otwartą jak ona, więc zagłębłam głęboko we własne wnętrze. I nagle w i e d z i a ł a m, zobaczyłam z jednoznacznością wyrazistością, dokąd zmierzało moje życie i gdzie musiało znaleźć swe ujście. Przed oczami pojawiła się półoświetlona sala, teatr, rozległy się głosy, które wypowiadały m o j e słowa, ludzie poruszali się, wykonywali gesty, które ja uprzednio sobie wyobraziłam. Ale ja stałam nieco w oddali i z pulsującym w żyłach tętnem obserwowałam zdarzenia na scenie...

Nie bez skrępowania zwierzyłam się koleżance z tych myśli i nigdy nie zapomnę pół-szydzącego, pół-urazonego spojrzenia, z jakim przyjęła moje słowa. Ja jednak patrzyłam gdzieś poza nią, w powietrze, gdzie ciągle jeszcze, widoczna tylko dla moich oczu, unosiła się właśnie mi ujawniona wizja życia. Wiedziałam, że nigdy nie utraci ważności. W tej ekscytującej chwili nie przypuszczałam jednak, jakimi to krętymi ścieżkami będzie prowadzić mnie do celu.

Chciałabym jeszcze dodać słowo o zasadniczej istocie moich dzieł. Miłość do świata, jego barw i różnorodności zdarzeń i zjawisk, którą noszę w sercu, sama w sobie nie mogłaby być, jak sądzę, wystarczającą siłą twórczą. Każde z moich dzieł, gdzieś w swym jądrze jest rezultatem ja-

kiegoś pierwotnego przeżycia, któremu musiałam nadać kształt, aby się z nim uporać i od niego uwolnić. Przełożenie tego przeżycia – więc znowu p r z e m i a n a – na całkiem inny obszar, całkiem inne układy jest tak absolutne, że tylko ja sama jestem w stanie rozpoznać to powiązanie. Zresztą cały ten proces nie ma nic wspólnego ze świadomą mistyfikacją – przemiana dokonuje się całkowicie w podświadomości, błyskawicznie i doskonale, na ogół w półsnach albo w stanie transopodobnym i ma, jak czuję, tak niepodważalny Byt, że przyszłe dzieło już od samego początku, w samym zarysie i często też aż do ostatnich drobiazków – jest całkowicie i nienaruszalnie ustalone.



*Okladka programu występu recytatorskiego w Berlinie,
około 1912 roku.*